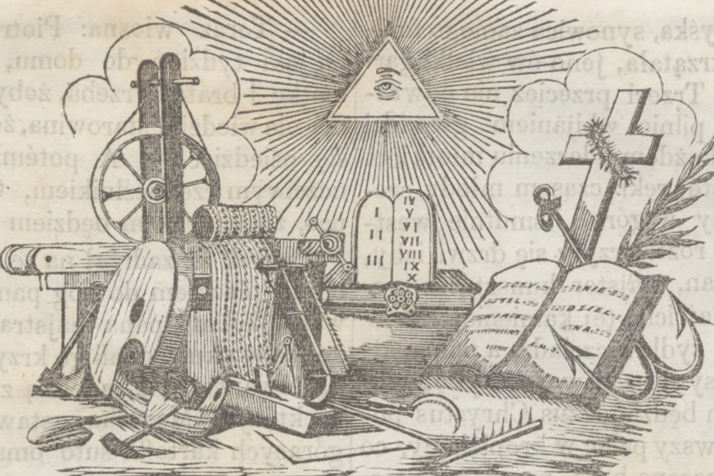
№ 15.

Warszawa.

Dnia 1 (13) Kwietnia 1856.

Niedziela

3 PO WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaśjuż prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaw. płaci tylko rsr. 2 rocznie

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! który błądzącym, aby na drogę sprawiedliwości powrócili, światło Twéj prawdy ukazujesz, daj wszystkim, którzy Chrześcijanami się zowią, to odrzucać, co Twemu Imieniowi jest przeciwnego, a to wykonywać, co Jemu przystoi. (Modlitwa kościelna na niedzielę 3 po Wielkiéjnocy).

Praca.

Już od wieków bracia mili! — w świętych księgach stoi:
Bogu płaca—chętna praca — co dobytek dwoi.
Praca źródłem jest dla życia, pokarmem dla duszy,
Co człek pracą swą zdobędzie, czas niełatwo skruszy.
Praca oraz jest modlitwą miłą Panu Nieba;
Więc nie dosyć mówić pacierz, lecz pracować trzeba.
Praca szczera myśl rozjaśnia i sercem kieruje,
Z nią też człowiek patrzy śmieléj —żywiéj piękność czuje.
Praca dla nas tak potrzebna, jak dla ryby woda,
W pracy silniéj bije serce — w myślach jest swoboda.
Praca dla nas tak potrzebna, jak dla ziemi rosa;
Gdy człek w pracy, to do niego śmieją się niebiosa.
Praca szczera daje siłę i męzkość i zdrowie,
I poczciwe budzi chęci, budzi rozum w głowie.
Praca dla nas to skarb wielki — to nauka święta,
Wszakże w pracy ziemia cała przez Boga poczęta.
Praca dla nas jest osłodą nawet wśród cierpienia,
Niedopuszcza grzesznych myśli—broni od zwątpienia.
Tak od wieków bracia mili! w świętych księgach stoi:
Bogu płaca—chętna praca—co dobytek dwoi.

Kmieć i rzemieślnik.

Na Dunaju, w małéj kamieniczce, w obszernéj na dole izbie, siedziało trzech czeladzi, skurczonych na zydlach, i pilnie pracowało około szycia obuwia. Choć widno jeszcze było na dworze, dla zmroku w izbie sklepionéj zapalono świece. W rogu, poza drzwiami już błyskał płomień, i pani majstrowa kończyła krajanie słoniny, gdy młoda a krasna dziewczyna oskrobane kartofle nalewała wodą, i przysuwała w dużym garnku do ognia. Z trzech pracujących, dwóch ciągle, za każdém pociągnieniem dratwy smołką, zwracali tęskne oczy na komin. Ale nie wabiła ich spojrzenia,

młoda i urodna Maryśka, synowica samego majstra, co się żwawo krzątała, jeno ów wielki garnek z kartoflami.— Trzeci przecież nie odwracał głowy, zajęty pilnie wbijaniem gwoździ w obcasy buta. Po każdem uderzeniu młotkiem znać było siłę żylastéj ręki: czasem młody czeladnik wzniósł oczy w górę, i smutnie westchnął.— Niedługo roztworzyły się drzwi izby, i wszedł sam pan Jan, majster kunsztu szewckiego, ba, nawet właściciel téj kamienicy. Zerwała się ze swoich zydlów czeladź, a pan majster otrząsając z rosy deszczowej czapkę, wyrzekł naprzód: Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony, i umoczywszy palec w kropielnicy, co przy drzwiach zawieszoną była, przeżegnał się.

Pan majster, wysokiego był wzrostu, szerokich pleców: na czerstwéj twarzy, pod długim nosem krzewiły się zawiesiste, szpakowate już wąsy. Chodził w czapce rogatywce, w kapocie szaraczkowéj na codzień, i w butach juchtowych z długiemi cholewami, zawsze czystych i całych, co było osobliwością dla wielu, bo zwykle szewcy najmniéj o własne obuwie dbają.

Pani majstrowa z radością powitała męża. Czeladź stała jeszcze; dwóch z niéj, co tak tęsknie spoglądali na kartofle, byli niskiego wzrostu, choć krępi i krzepcy: trzeci, co się zwał Piotrek, jak się wyprostował, powstawszy z zydla, o pół głowy wzrostem przenosił samego pana majstra. Ale nie był tak czerstwy— blady i wychudły— błyskał tylko oczyma czarnemi. Na wynędznionem wszelako obliczu jeszcze przeglądały młode lata, i jakaś tęsknota i smutek.

— Piotrek! zawołał pan majster, a skończyłeś ty tę parę butów?

— Już są gotowe, odrzekł zcicha Piotrek, i nieśmiało ukazał stojące około zydla.

— To dobrze, mój chłopcze, to dobrze. Magdusiu (rzekł po chwili do żony) odebrałem list ze wsi, zkąd Piotrek rodem: wszystko co do słówka prawda, co waszeci powiedział. Piotrek! chodź tu; za to żeś prawdę wyznał przed panią majstrową, ja ciebie bardzo kocham. Piotrek chodź tu.

Na ten powtórzony rozkaz zbliżył się już więcéj śmielszy, a pan majster i majstrowa, schylonego pocałowali w głowę.— Pan majster usiadł na ławie przy kominie, i prawił jakby do siebie.

— Teraz wiosna: Piotrka, matko puścimy na jaki tydzień do domu, niech zobaczy ojca, matkę i brata. Trzeba, żeby ojca przeprosił, bo nic nie wiedział starowina, że on chciał w mieście się osiedzieć. — A potém, jeżeli zechce być uczciwym rzemieślnikiem, to niechaj wraca do nas, znowu razem będziem pracowali.

Piotrek aż zadrżał na te słowa z radości, rzucił się plackiem do nóg pani majstrowéj, ucałował w kolana pana majstra, i gdy ci rozczuleni ze łzą w oku żegnali go krzyżykiem, dwaj Piotrka towarzysze z radością zwrócili oczy na stół, na którym Maryśka ustawiła miskę z czubem gorących kartofli, suto omaszczonych słoniną.

Niech spożywają wszyscy zdrowo po pracy wieczerzę: my tymczasem opowiemy dawniejsze lata naszego Piotrka.

Piotr i Maciéj byli synami zamożnego kmiecia czynszowego zponad Wisła. Od młodego też wieku nie zaznali biedy. Niemowlętami byli jeszcze, kiedy ojciec ich, *stary Bartos*, jak go zwyczajnie we wsi nazywano, z pańszczyzniaka przeszedł na czynszownika, a trzeźwością, pracą, zabiegły przytem, wkrótce miał dostatek wszystkiego, co tylko dobrego gospodarza i gospodarstwo zalecać może: para dobrych koni, dwie pary tęgich wołów, pięć dojnych krów, oprócz kilkorga jałownika, zapas zboża na przednowku, paszy dla inwentarza, grunt wcześnie dobrze uprawny i zasiany, budynki porządne, to było staranie starego Bartosa. *Kobieta* jego, pilnowała podwórkowego gospodarstwa i w ogrodach, a równie zabiegliwa; miała drobiu dostatek, warzywa nie do przejedzenia, w chlewkach do roku cztery wypasione wieprze, płótno lniane i konopne, domowego wyrobku, zalecało ją jako dobrą gospodynią. Dostatek się mnożył, w nim się też wychowali i Piotr i Maciéj.

O rok tylko wieku różnicy, a w charakterach swoich wielką pokazywali odmianę. Piotrek razem z bratem nauczywszy się w miejskiéj szkółce czytać, pisać i rachować, nie miał żadnéj ochoty do roli, nie umiał się brać nawet do zatrudnień około pola. Choć siły mu nie zbywało potemu, nie doorawszy nawet pół morgi, wracał, bo i woły pomęczył i sam zlany potem, przeklinał ciężką robotę, a przed matką płakał. Jak bronował dzień, drugi przeleżał, do cepa ani rusz, równie jak do kosy, o sierpie w żniwie ani mu wspomnieć. Matka, jak każda czuła matka,

wymawiała przed ojcem kochanego Piotrusia, a ten Piotruś, choć mniéj robił jak brat Maciéj, przy misie zjadł za dwóch, a mógł wypić za sześciu.

W karczmie to był raj dla niego; w każde święto, jak tylko skrzypak uciął *wyrwasa* albo *kujawiaka*, nasz Piotruś na czele rej wiedzie, a tak składnie, tak wdzięcznie, że dziewuchy przepadały za nim, co wielce matulę cieszyło. Inaczéj to pojmował stary Bartos, kiwał głową za stołem, i do swego sąsiada tak się odezwał.

— No! i cóż kmotrze patrzyta, jak mój starszy chłop wycina hopki, że drzazgi z podłogi lecą! Toć to żywie Bóg, żniwo dla niego, ale nie będzieć z tego gospodarz, nie! Jemu lekko chce się na chleb robić, nie umie ze świętéj ziemi czekać, co Bóg przy pracy da, jeno aby pieczone gołąbki wleciały do gąbki.

— Bo młody, bo młody! wyrzekła stojąca przy nich matka. Niech się młode piwko wyszumi, to potem lepsze będzie.

— Kaci po tém (odrzekł smutno stary), kaj za dużo drożdży, to długo mu szumieć.

Maciej stał na uboczy i poglądał z upodobaniem, jak Piotrek dzielnie obracał *w wyrwasie* dziewuchy, a ztańcował już ich dwie, a jeszcze i trzecią na odsóbkę zawijał: jak zrzucił do kujawiaka sukmanę, dla gorąca, w kamizeli tylko, co tupnął podkówkami, to aż stoły, a ławy drżały; co huknął jaką piosnką, to nad całym karczemnym górowała gwarem. Ojciec się dziwił, zkąd mu taka siła, kiedy orać i bronować nie może, a matce serce rosło, że synalek taki składny do tańca.

I wyrosłci z niego chłopak smukły, jak choina, czerstwy i zwinny, ale do roli go ani napędź. To go też stary Bartos wysyłał pasać bydło i konie tylko, albo z furmanką gdzie do miasta. A Piotrek lubił miasteczko, i nieraz matce na ucho gadał, jakby był szczęśliwy, gdyby się do Warszawy dostał.

Niedługo przybyli rzeźnicy za kupnem upasów do dworu. Matka zniosłszy się z ekonomem, wyprawiła Piotrka, aby spasne woły pognał do Warszawy. Z uciułanego grosza w oszczędności, dała mu dwa talary, dwie nowe koszule i nowe buty.

Piotrek w mgnieniu oka wyładował swój tłomoczek, zarzucił na plecy, a wziąwszy bicz do ręku, z wesołem obliczem poszedł pożegnać rodziców i brata.

Maciéj z płaczem go uścisnął, przeczuwając, że go długo nie zobaczy, stary Bartos z zachmurzonem czołem polecał mu, żeby prędko z Warszawy wracał, bo nie wiedział, że Piotrek myślał na dobre w mieście osiąść. Matka łkając, wybiegła za nim z chaty, odprowadziła pod płot dworski, jeszcze mu wsunęła parę złotych, krajankę sera, kurę pieczoną, bochenek chleba i w liściu kapuścianym osełeczkę masła. Tu przy pożegnaniu z ukochaną matką zadrżało bólem serce chłopaka, padł jéj do nóg, i nie mógł się od płaczu utulić. Ale czas naglił, otrzymawszy błogosławieństwo, poszedł do dworu i ruszył w drogę. Matka jeszcze go dognała przy rozstajnych drogach, kędy stał krzyż omszony na wzgórzu, tu go po raz ostatni ucałowała, przeżegnała. Piotrek razem z nią odmówił cichą modlitwę, spojrzał łzawo na chatę rodzinną, i ruszył na szeroki gościniec; matka długo stała pod krzyżem, dopóki jéj syn nie zniknął z oczu. Szlochając powróciła do chaty, na progu łzy otarła. Kiedy weszła do izby, stary Bartos smutny siedział w tem samem miejscu, z pochyloną głową na piersiach. Maciej stał również przy kominie, ocierając oczy połą sukmany. Obaj nie słyszeli wejścia matki. Katarzyna usiadła na ławie. W milczeniu przetrwali cały wieczór, żadne z nich nie usiadło do wieczerzy, bo i ogniska w téj chacie dnia tego nie było.

Kiedy Piotrek ochoczo gnał woły gościńcem warszawskim, zapomniawszy chwilowego smutku i łez przy pożegnaniu z matką: biedna niewiasta długo odtęsknić się nie mogła. W chacie, w któréj lat przeszło dwadzieścia przemieszkiwała, ujrzała jakąś pustkę, jakiś smutek rozlany. Często w alkierzyku, gdzie Piotrek sypiał, stawała, a w pusty kąt spoglądając, łzami oczy zalewała. W tym kącie jedyną po nim pamiątką został kij gruby, krzemieniem nabity, z długim rzemykiem, okuty na końcu, którego używał, gdy pieszo wysłany był do *Powiatu* z papierami Wójta gminy, czy też szedł na odpust lub jarmark. Znali dobrze tę palicę i parobczaki z własnéj wsi, gdzie Bartos zamieszkiwał, i z wiosek sąsiednich. Nieraz ona dzielnie grzmociła ich plecy, i na głowach zostawiła ślady swoje w guzach krwią nabiegłych, lub długo niezgojnych ranach. Bo byle zwada, byle

okrzyk kłotliwy, Piotrek już tam leciał, a jeżeli wiedział, że albo jego sąsiad, albo znajomy turbowany, gwizdał silną pięścią, i nie pytając o powód zwady, bił i rozganiał przeciwników. To też go młodzież wsi całéj szczerze kochała, a gdy który przyciśnięty widział, że kusa rada, zaraz wołał: „Piotrek ratuj!“ I Piotrek dzielnie ratował.

Trzeba go było wtedy widzieć, kiedy biegł swemu na pomoc. Kiedy zasłyszał głos wołający ratunku, przystawał, i podawał ucho w tę stronę, zkąd krzyk dolatywał, wtedy gwizdał całą piersią, na hasło, że idzie, odgarniał gęste kędziory włosów, naciskał lepiéj czapę, poprawiał włóczkowego pasa, zapinał dobrze sukmanę, aby mu ją nie porwano, a plunąwszy w obie garście, obwijał rzemyk od palicy swojéj na ręku, i biegł hyżym pędem. Obalał wszystko, co chciało mu stawić opór jaki: i stawał obok wołającego pomocy, z roziskrzonemi oczyma, sapiąc silnie ze zmęczenia w biegu, i obalania zapór, z obliczem zarumienioném i rozdętemi nozdrzami. Z początku niewiele zważano na tak groźną postać rosłego i zwinnego parobeczka, ale gdy raz, drugi i dziesiąty poczuli siłę żylastéj dłoni, gdy Piotra ujrzano, ucichał gwar kłótni, i gromada rozchodziła się w milczeniu.

Bartos na trzeci dzień, wróciwszy z pola z płużycą, krzyczał po swojemu.

— Hej Piotrek! a weźta woły na pastewnik!

Na ten głos na progu chaty stanęła Katarzyna, i załamując ręce ze łzą w oku odrzekła.

— Czy złe w was wstąpiło, mój Bartoszku, dyć Piotrka od trzech dni nie ma w domu.

Stary kiwnął głową, odwrócił się, puścił woły z jarzma na podwórzec, a sam wszedłszy do izby, rzucił na stół czapkę baranią, usiadł, i podparłszy głowę na obu rękach, głęboko się zadumał.

Katarzyna podała na wieczerzę miskę klusków z serwatką, i drugą kartofli, Bartos z Maciejem strudzeni i głodni, wypróżnili obiedwie, biedna matka za cały pokarm miała łzy tylko słone.

Piotrek tak w chacie rodzicielskiéj, jak w karczmie, we wsi całéj, i sąsiednich nawet, głębokie zostawił wspomnienie o sobie, ale w karczmie tylko w czasie uciechy, u sąsiadów w dnie odpustne lub jarmarczne, a szczególniéj przy każdéj gorącéj bójce — w rodzinnéj chacie codziennie, rano, w południe i wieczór, czy przy stole, czy przy pracy w polu, w milczącym smutku starego Bartosa, we łzach biednéj matki, i w sercu pracowitego a spokojnego Macieja.

Piotrek płakał jeszcze po pożegnaniu z matką, ale nadzieja ujrzenia Warszawy wprędce łzy rzewne osuszyła. Już z radością ujrzał zdala wieże kościołów, radby jednym skokiem dostać się do miasta, co wspaniale rozłożyło się na wzgórzu ponad Wisłą. Rzeka wezbrała wtedy, a na niéj spływały liczne tratwy drzewa, łodzie i berlinki z wydętemi żaglami. To wszystko zachwycało Piotrka, bo tylko znał wsi kilka okolicznych i lichą blisko gniazda swego mieścinę. Do reszty zdurzał, gdy przeszedłszy most, stanął wpośród ulicznego gwaru. Tegoż samego dnia już ciął w szynku na przedmieściu oberka, bo tam było stanowisko wołów, które z rzeźnikami przygnał. Lice rumiane wiejskiego wyrostka, jego wysmukła i zgrabna postać, zwinność i ogień życia, zjednały mu zaraz jak przyjaciół, tak i między dziewczętami baczenie. Nazajutrz odebrał od rzeźnikow za pędzenie wołów ośm złotych: dołożywszy do tego, co miał w kalecie od matki, sądził się wielkim i bogatym panem z nieprzebranym skarbem. Hulał więc ochoczo przez dni kilka następne, ale gdy ochłonął, zajrzał w kaletę i z przestrachem obliczył, że mu tylko jeden bity talar pozostał, pokręcił głową, aleć wieczorem zapomniał o wszystkiém: muzyka brzmiała, nogi mu drgały, daléjże w taniec i przehulał téj nocy resztę pieniędzy. Nazajutrz już zaczęła się dla niego zła dola: wciągniony przez fałszywych przyjaciół, choć co z pracy do czasu zarobił, to poszło na muzykę i trunek. Od dnia do dnia coraz większa bieda, sprzedał sukmanę wygodną bo przestronną, i czapę z siwego barana, przybrał się w kubrak miejski, aleć niedługo zdarły się suknie, łatanie niewiele pomogło. Zostały łachmany, a z sukmanką uleciało zdrowie, czerstwy rumieniec i siły. Bał się gniewu rodzica, matki i brata się wstydził, zaczął więc nawykać do żebraniny, i kilka tygodni żył z tego tylko, co wyciągając rękę, z litości dostał. Ale mimo biedy, nie zatracił w sercu ani wiary, ani pobożności przez matkę wpojonéj. Kiedy raz był bardzo głodny i przeziębły, wszedł do Fary i uklęknąwszy, zaczął się gorąco z płaczem rzewnym modlić. Pan majster Jan był wtedy na mszy świętéj, i zobaczył biedaka. Jakoś mu się podobało choć wynędzniałe oblicze Piotrka. Po nabożeństwie kazał mu iść za sobą. Było to w niedzielę, cze-

ladź się już rozbiegła, w izbie pusto, tylko sama pani majstrowa doglądała obiadu, bo Maryśkę wysłała do kościoła. Pan majster coś zcicha z żoną pogadał na ucho. Ta postawiła przed Piotrkiem misę kapusty z kawałkiem mięsa, patrzeli oboje zpod oka, z jaką chciwością połykał podaną strawę. Po posiłku zaczął się Piotrka sam majster wypytywać, zkąd rodem, co robił; biedny chłopiec na wspomnienie rodziców i brata w głos się rozpłakał; wtedy pani majstrowa sama wzięła go na examen, gdy majster Jan do sąsiada wyszedł. Piotrek ujęty dobrocią majstrowéj, wszystko jak na świętéj spowiedzi wyznał z całą prawdą; zacna ta kobieta uspokoiła go, i nim mąż wrócił na obiad, już Piotrek przebrany w czystą bieliznę i starą ale całą kapotę majstra, zasiadł jak gość do stołu razem. Odtąd oboje rozciągnęli nad nim całą opiekę, Piotrek mając Boga w sercu, wziął się pierwszy raz szczerze do pracy, i w ciągu roku liczył się do pierwszych czeladników pana majstra Jana z Dunaju.

Ale pan majster, jak był dobry, choć go przyłóż do rany, był straszny i groźny na złych i próżniaków. Wtedy wpadał w gniew wielki, a że wówczas mrugał gęsto oczyma, czeladź i sąsiedzi zwali go Mrugajło. Bał się go, pomimo że kochał Piotrek, a jak zobaczył, że pan majster zaczyna mrugać, już duszę miał na ramieniu. Wprawdzieć na niego ani razu nie mrugnął, ale na Józka i Wawrzka jego towarzyszów, nieraz to było, a po mruganiu brał się do pociągla, i okrutnie skórę garbował. Zaprawdę przecie nigdy nie ukarał niesprawiedliwie, to też straszne było mruganie, chociaż rzadkie, pana majstra Jana.

Rok drugi dochodził, jak Piotrek opuścił dom rodzicielski, i po krótkiéj radości poznał wiele biedy, ba i nędzy, zanim przytułek znalazł; ale nauka w las nie idzie, bieda nauczyła go rozumu, i wdrożyła do pracy, od któréj wykręcał się na wsi. Używszy krótko uciech miasta, opłacił je długiemi łzami. Ale wyniósłszy zpod strzechy słomianéj wiarę i pobożność, pod ich zasłoną ustrzegł się, przy pomocy Bożéj, zupełnego upadku. Nędza, jakiéj doznawał, uspokoiła zbytnią żywość jego, praca i uczciwe przy niéj życie, mając piękny przykład w pożyciu zgodnem i pobożnem majstra Jana i jego żony, wpłynęły na Piotrka; zpoważniał, a chociaż lica mu zbladły, i wychudł nieco przy ciężkiéj pracy, zachował w oczach jeszcze dawną dziarskość i życie.

Piękny był dzień majowy, kiedy pobłogosławiony przez pana majstra i jego żonę, i zaopatrzony na drogę, ruszył rzeźwo przez most na Wiśle, i zwrócił się na Pragę, na drogę wiodącą do rodzinnéj wioski. Śpiewał sobie pobożne pieśni, których się przy pracy wyuczył, i około południa, przemachawszy kawał spory drogi, siadł na miedzy, z któréj już wioskę swoję dopatrywał. Na wzgórzu przy rozstajnych drogach, stał ów krzyż drewniany, pod którym go matka ostatni raz pożegnała. Na to wspomnienie zaczęło mu bić silnie serce, zerwał się na nogi, i zaczął więcej biedz, jak iść, aby co rychlej ujrzeć rodzinne gniazdo, rodzica, matkę i brata. Jakoś czuł się rzeźwiejszym, weselszym, jak zachwytał w pierś świeżego wiejskiego powietrza, jak usłyszał śpiew skowronka nad rolą i kukułkę w pobliskim lesie. Wiatr, co mu na twarz powiewał, chłodził pot kroplisty na czole, i dodawał siły w tym pośpiechu. Kiedy tak dobiegł do krzyża, nagle stanął, brakło mu oddechu, a gdy spojrzał na ukrzyżowanego Zbawiciela, padł na kolana, rozpłakał się rzewnie, a w gorącéj modlitwie znalazł ulgę, pocieszenie i nowe siły. Już z tego wzgórza chatę rodzinną widział jak na dłoni; dojrzał, jak brat Maciéj z płużyną z pola wraca i zajeżdża na podwórze; ojciec przed stodołą kłonicę zaciosywał, a matka niosła drwa na komin. Poskoczył co żywo, i tak biegnąc, bez tchu prawie, upadł u nóg ojcowskich.

Brat Maciéj pomimo przebrania i schudzenia, poznał go odrazu, i krzyknął, wypuszczając biczysko z ręku: „Piotrek, to nasz Piotrek!“ Matka z progu chaty zwróciwszy się, rzuciła brzemie drzewa i z większym krzykiem, wyciągnąwszy ręce, biegła do syna. Stary Bartos stał tylko w miejscu, dwie łzy spadały mu z oczu, po zoranem zmarszczkami obliczu. Wzniósł oczy w górę, a ująwszy rękoma za głowę leżącego u nóg syna, szeptał ustami, znać się modlił, i błogosławił powrócone mu dziecię.

O! była wielka radość w chacie Bartosza: wkrótce zbiegli się sąsiedzi, kmotry i kumoszki, matka zgotowała krupniku i z płaczem wszystkich częstowała. Maciéj już nie wyszedł w pole.

Po paru dniach uciechy, Bartos wieczorem paląc lulkę, a siedząc na kłodzie drzewa przed stajenką wraz z żoną, rzekł do rąbiącego drwa Piotrka:

— No! cóż teraz będziesz robił chłopcze z sobą?

— Albo co, zapytała Katarzyna, chłopczysko zaledwie przybyło, jeszcze nie odetchło, a już ojciec czy go chce z chałupy wygonić, czy co?

— Baj baju! alboż ci to miałem w swojéj głowie? pytam, co daléj będzie robił, czy zostanie na roli, czy wróci do miasta? boć to przecie trzeba wcześnie wiedzieć.

Piotrek westchnął smutnie, pokiwał głową i odrzekł nieśmiało:

— Człowiek, proszę matuli, już nawykł do swojéj pracy, zapomniał już orać, bronować, żąć, kosić i młócić....

— Ba! przerwał Bartos, boć do tego nie miałeś nigdy układności, żebyś był pracował doma zmłodu, tobyś nie przepomniał.

— Ojciec! ojciec! przemówiła Katarzyna, jakby z wyrzutem, co też bajecie.

— No! albo nie prawda? A co prawda, to nie grzech. Kiedy taka wasza wola, mój chłopcze, to i lepiéj, w uczciwéj pracy wszędy chleba nie braknie. A na długo dał ci pozwolenie pan majster?

— Na cały tydzień, a we wtorek da Bóg doczekać, to wrócę do roboty.

Przyszła niedziela; Bartos z żoną, Maciéj i Piotrek wybrali się do karczmy. Brzmiała już tam od półwieczerza muzyka. Skrzypak i basetlista nie pożałowali smyków. Piotrek odżył teraz, zrzucił kapotę, a jak poszedł w pierwszą parę, to jak dawniéj, drzazgi z podłogi leciały.

Bartos siedząc na ławie za stołem, pokazując go Katarzynie, z uśmiechem przemówił:

— A widzita matko! że co umiał zamłodu, to i w mieście nie zapomniał. Znalazł ci zdrowe nogi, i drze podeszwy, dobrze i to, że sam je sobie połata.

Katarzyna z uciechą w sercu patrzała na ochoczy taniec Piotrka, któremu teraz wróciły rumieńce, i dawna dziarskość młodzieńcza.

Przez cały poniedziałek robiła przybory do drogi. Maciej wóz ładował i wyobroczył konie, stary Bartos sam odwoził syna do pana majstra. Skoro świt we wtorek już wszyscy byli na nogach. Uładowano garczek masła, kilka krajanek sera, cztery bochenki chleba, jaj kopę w kobiałce słomianéj, sieczką przesypanych, a do tego dwa kapłony i żywe prosię. Matka z Maciejem odprowadzili podróżnych do tegoż samego krzyża; tu się pożegnali znowu płaczem, ale z nadzieją przynajmniéj częstego widzenia się.

W południe na Dunaju, przed małą kamieniczką, stanął wóz i Bartos z Piotrkiem wysiedli.

Wielka była radość pani majstrowéj z powrotu ulubionego *chłopca*, jak go zwała. Maryśka skraśniała i upiekła raka. Józiek i Wawrzek zerwali się ze swoich zydlów, i zaczęli znosić to kapłony, to ser, chleb, kwiczące prosię. Niedługo wszedł sam majster Jan, zdziwił się na gwar w izbie, ale jak zobaczył Piotrka i starego Bartosza, już nie mrugnął na czeladź, że nie siedzi przy robocie, ale ściskając prostą rękę Bartosza, rzekł rozrzewniony.

— No! chłopcy, dziś jakby niedziela, kiedy Piotrek wrócił. Józiek odprowadzi na Podwale wóz i konie, do stajni; a my tu starzy odpoczniemy sobie.

Bartos był rad wielce z przyjęcia, rozgawędził się powoli, i gdy Piotrek, z Maryśką coś w kąciku pod oknem szeptali z sobą, pani majstrowa wskazując ich nieznacznie, rzekła z uśmiechem.

— I cóżbyście ojcze powiedzieli, żeby się to pobrało razem.

— Ja już zapadam na siłach (rzekł pan majster) mógłby potem objąć warsztat cały, bo to znać, że chłopak z poczciwego gniazda i poczciwych rodziców.

Bartoszowi te słowa poszły wprost do serca, łzy mu się pokręciły, wyciągnął rękę do majstra Jana, i wyrzekł:

— Dziéj się wola Boża — niech się biorą, gdy się kochają.

We trzy miesiące, w chacie Bartosa sute odprawiały się gody. Pan majster Jan z żoną, i Józkiem i Wawrzkiem od dwóch dni zjechali, a w tymże kościele gdzie brał ślub stary Bartos z Katarzyną, otrzymali błogosławieństwo Piotrek z Maryśką.

Po tygodniu wrócili państwo młodzi do małéj kamieniczki na Dunaju, pan majster Jan z żoną wynieśli się na piętro. Piotrek objął warsztat cały: wziął się jeszcze do pracy, i Bóg błogosławił. Co święta większe i dłuższe zwykle siadali na wóz oboje, bo przyjeżdżał Maciéj, i przepędzali je w chacie Bartosza. Teraz Piotrek już kupił kamieniczkę, — zrzekł się połowizny gospodarstwa na rzecz brata, co się przed rokiem ożenił; a obydwa miłując rodziców i dobrodziejów swoich, przy błogosławieństwie Bożem, w dostatku i spokoju żyją dotąd szczęśliwie.

Jedwab i wyroby z niego.

Jedwab, z którego tyle pięknych wyrabiają materyj, jest przędziwem owadu *jedwabnikiem* zwanego. Za dawnych czasów jedwabnictwo nieznanem było w Europie, ale szaty jedwabne były już w użyciu w Rzymie za panowania Cesarza Augusta; wyrabiały się zaś na dalekim Wschodzie, gdzieś aż w Chinach. Ceny na wyroby z jedwabiu były tak wygórowane, że je na wagę złota płacono. Handel przewozowy był w ręku Persów, którzy będąc w ciągłych wojnach z Grekami, podług upodobania swego ceny podnosili. Dla zaradzenia temu, dwaj missyonarze perscy, w dalekich swoich na Wschód wędrówkach, przypatrzywszy się wyrabianiu jedwabiu, umyślili odkryć tę tajemnicę Cesarzowi Greckiemu Justynijanowi, w r. 552 po Narodzeniu Chrystusa. Nabrawszy więc w wydrążone kije pielgrzymie mnóstwo jajeczek jedwabników, przenieśli je szczęśliwie do Europy, i odtąd jedwabnictwo się rozpowszechniło, a w Grecyi zaraz też mnóstwo fabryk wyrobów jedwabnych powstało. Dziś hodują ich najwięcéj we Włoszech i Francyi południowéj, gdzie dla nich zasadzono lasy drzewa morwowego, liściem którego ten owad żyje.

Motyl brudno-białawy 1 do 1 i pół cala wielki znosi 300 do 500 jajek; w krajach gorących, jako to: Indyach, Chinach, zkąd jedwabniki pochodzą, pozostają ich jajka na drzewie przez zimę, ciepło wiosennego słońca je wylęga. W Europie wyląg ich odbywa się za pomocą ciepła sztucznego, wtenczas dopiero, kiedy morwy są już okryte liściem, żeby owad miał pożywienie; wylęgnięte liszki żyją w tym stanie 6 do 7 tygodni, zrzucają przez ciąg tego czasu kilka razy z siebie skórę, przyjmując za każdym razem inny kolor; ostatni jest białawo-brunatny, z ciemniejszą głową. Kiedy liszka pod szyją czerwienić się poczyna, nadchodzi czas jéj przemiany, przestaje jeść, staje się niespokojną, i szuka miejsca do przemienienia się w pupkę. Znalazłszy takowe, poczyna oprząd (kokon), wypuszczając zpod pyszczka nitki cieczy kleistéj przezroczéj, która w powietrzu natychmiast tężeje; pierwszego dnia oprzędu, czepia ją nie regularnie na krzyż, dla dania kokonowi podstawy; drugiego dnia zaczyna obwijać się tą nitką, co trwa zwykle 6 dni, ostatecznie tworzy około siebie powłokę z téjże cieczy kleistéj, a tak zabezpieczona od zimna i wilgoci, zrzuca po raz ostatni skórę, i pozostaje w stanie pupki 3 tygodnie. Po tym czasie robi sobie w kokonie otwór, i wychodzi wyż opisany motyl, by w kilkodniowém swém życiu, znosząc po kilka set jajek, dał życie nowym owadom.

Kiedy jedwabnik w kształcie pupki w kokonie jest zamkniętym, by przezkodzić przedziurawieniu kokona, tem samém przerwaniu jedwabiu, zostawiwszy część dla rozmnożenia, dusi się je w piecach, następnie rzucają się kokony we wrzącą wodę, dla rozmiękczenia kleju, którym nitki jedwabiu są spojone; łatwo potém odłączyć zewnętrzne przędziwo nieregularne, które kokonowi służy za podstawę, a uchwyciwszy za nitkę właściwego oprzędu na maszynach do tego urządzonych, odwija się nić nieprzerwana, dochodząca do 1,000 stóp długości. Jedwab' surowy jest biały lub żółty; dla przysposobienia go do przędzenia gotują go po kilka razy, tym sposobem pozbywa się reszty kleju i staje się coraz miększym, połyskującym i zdolniejszym do przyjmowania kolorów.

Przędzenie, farbowanie i tkanie z jedwabiu materyi, podobném jest do tych samych czynności z wełny lub bawełny. Wieloliczne są wyroby z jedwabiu, zmiana mody i gustu stwarza z niego pod różną nazwą, liczne wyroby. Główniejsze są: kitajka, atłas, aksamit, adamaszek na meble, gaza, krepa, tiul, blondyny, wstążki i t. p.

W Europie, we Francyi, miasto Lyon posiada do 30,000 warsztatów tkackich, na których przeszło 100,000 ludzi zajmuje się wyrobem materyj jedwabnych; w mieście St. Etienne robią głównie same wstążki; inne miasta, w których wyrabiają się z jedwabiu różne przedmioty, są:

W Szwajcaryi, miasta Zurich i Bazylea, w Prusach miasta Crefeld, Elberfeld i w samym Berlinie są duże fabryki; niemniéj w Wiedniu, stolicy państwa Austryackiego.

Znaczne fabryki jedwabiu są w Moskwie, odznaczające się dokładnym wyrobem materyj przetykanych srebrem i złotem do użytku kościelnego,

Medyolan, stolica Lombardyi we Włoszech wyrabia najlepszy jedwab kręcony, który używają do szycia. Indye-Wschodnie i Chiny wyrabiają bardzo wiele jedwabnych tkanin; znane powszechnie fulary Ostindyjskie i krepy chińskie, przywożone są w znacznéj ilości do Europy. Nasz rodak Broński krzyżując jedwabni-

ki, wysoko podniósł rodzaj jedwabiu, za co otrzymał od Rządu Francuzkiego order. W Warszawie posiadamy fabryki materyj jedwabnych gładkich i adamaszku do powozów, a zawiązana Spółka, celem upowszechnienia hodowania jedwabników w kraju naszym, rokuje wzrost fabryk tego rodzaju.

W Botanicznym ogrodzie w Warszawie zarządzający ogrodem P. Hanusz zaprowadził hodowanie jedwabnika; kto naocznie chce się przekonać, jak się jedwab otrzymuje, może korzystać z obejrzenia tego zakładu, który przy uprzejmości właściciela chętnie jest zwiedzającym okazywany.

Dobra rada starego rzemieślnika dla rzemieślnika młodego.

(Wyjątek z pism B. Franklina).

Pamiętaj o tém, że czas jest toż samo co pieniądze; kto czas napróżno trawi, pieniądze za okno wyrzuca. Kto półtora rubla na dzień zarobić może, a połowę dnia przepróżnuje, chociażby wtedy tylko wydał złotówkę, traci nie złotówkę, ale talara.

Łatwy kredyt, częstokroć tyleż znaczy co pieniądze. Kto pożyczonych ci pieniędzy nie odbiera, choć czas wypłaty już nadszedł, czyni ci dar wielki, a mianowicie odstępuje ci wszystkiego, co mógł temi pieniędzmi zarobić, przez czas ich zostawania w twoich rękach.

Pamiętaj, że pieniądz nieskończenie się mnoży. Pieniądze w krótkim czasie znowu wydają pieniądze, a z tych rodzą się nowe. Zarób na dziesięciu złotych, jednę złotówkę, i całe jedenaście na nowo włóż w handel lub rzemiosło, już dochód znacznie będzie większym.— Kto jednę złotówkę bezpotrzebnie wyrzuca, wyrzuca wszystko, coby ta złotówka przynieść mogła przy pracy i przemyśle, wyrzuca długoletnie z niéj korzyści,— słowem, za okno wyrzuca całe kapitały.

Rozważ, że złoty dochodu na dzień, to procent od 1,072 rubli; kto więc złoty na dzień utraca, czy to wydając pieniądze napróżno, czy czas marnotrawiąc, utraca procent od téj znacznéj summy, która gdyby była w ręku człowieka obrotnego, mającego kredyt, przyniosłaby w krótkim czasie, więcéj niż drugie tyle czystego dochodu; a z czasem mogłaby wzrość do ogromnego kapitału.

Kto znany z tego, że się regularnie na termin wypłaca, jest panem cudzych worków, czyli ma kredyt;— chętnie mu przyjaciele i znajomi, na mały procent pożyczą, które to dobrodziejstwo wielką bywa korzyścią. Prócz pracy i oszczędności, nic więcéj do dobrego mienia, człowieka z zarobku żyjącego, nie przyczynia się, jak punktualność i rzetelność. Nie przetrzymuj pożyczonych pieniędzy, godziny dłużéj nad termin oznaczony, jeżeli nie chcesz, aby się na zawsze przed tobą nie zamknął worek twego przyjaciela.

Małe nawet okoliczności, na ustalenie lub osłabienie kredytu rzemieślnika, wpłynąć mogą, i dlatego zaniedbywać ich nie należy.— Regularny huk młota w porannéj, wczesnéj godzinie i w późnéj wieczornéj, o wiele powiększy ci kredyt. Kiedy zaś wierzyciel zobaczy cię w szynku lub na bilardzie, w godzinie na pracę przeznaczonéj, to nazajutrz przyszle do ciebie po pieniądze, z obawy, żeby mu nie przepadł kapitał wypożyczony. Kto się należycie wypłaca, dowodzi, że pamięta o swoich wierzycielach, każdy poznaje w nim poczciwego i zacnego człowieka, a to powiększa zaufanie.

Strzeż się wypożyczonego kapitału uważać za swoję własność, urządzaj wydatki stosownie do dochodów, nie do pozornego majątku. W ten błąd wpada wielu posiadających kredyt. Żebyś miał dokładną wiadomość: co twoje a co cudze, często bierz dochód i wydatek pod kredkę. Jeżeli od samego początku, najmniejsze nawet wydatki zapisywać będziesz, to się przekonasz, jak wielkie z groszy wydanych porobią się summy, poznasz, coby można było oszczędzić i co na przyszłość bez wielkiego uszczerbku ochronić możesz.

Słowem, jeżeli zechcesz, droga do bogactwa będzie tak prostą, jak trakt bity. Majątek zależy od dwóch warunków *pracowitości i oszczędności.* Nie trwoń napróżno ani pieniędzy ani czasu, użytkuj z nich należycie, a będziesz w dostatku.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 28 Marca (9 Kwiet.) 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*